ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Października **N^er 40.** **Roku 1843.**

RUBENS.

(Dokończenie.)

Główna pracownia Rubensa znajdowała się w obszérnéj sali. Ściany jéj wyłożone czysto wyhéblowanémi i wypolérowanémi dębowémi deskami; na ciemno-cynamonowym gruncie ścian, rysowały się dogodnie dla artysty kontury i odbijały się cienie, czyto ustawionego sztucznego, czy téż naturalnego wzoru. W téjże pracowni pomalował Rubens najlepsze swe obrazy, a między innémi obraz: *Zdjęcie z krzyża,* który miasto Antwerpija posiada, i który liczy się za najsławniejsze i najwyborniejsze dzieło znamienitego umnika. Obraz ten cały malowany ręką Rubensa: nie pomagali mu jak po [illegible] przy innych pracach, ucznie, [illegible] współpracowniki jego, którzy zwykli byli pracować pod jego przewodnictwem. Żona jego za wzór mu służyła, gdy na tym obrazie malował pokutującą Magdalenę.

Helena klęczała. Jasne, rzęsisto rozpuszczone włosy, spadały długim strumieniem na pół-okryte, słońcem żywo i jasno oświécone plecy; zielona, jedwabna suknia, rozkoszną formowała draperyję około jéj powabnéj kibici, i szérokiémi fałdami słała się po posadzce, nie zakrywając wszelakoż doskonałego i wytwornego kształtu bosych nóg dziewicy. Niespodzianie i szumno otworzyły się podwoje pracowni. Helena wrzasła i pobiegła skryć się za firanki okna. Rubens rozgniewany z palitrą i pędzlami skoczył śpieszno ku drzwiom, lecz przygotowany wyraz nieukontentowania na twarzy jego, zamienił się w przyjaźny uśmiéch.

»Nic to Heleno!« zawołał, »to Van-Dyk, to Antoni!...« — Artyści uściskali się.

»Jakże długo dałeś czekać na siebie przyjacielu! No, cóż? złożyli ci należącą daninę w pochwałach i złocie za twój obraz: *Ukrzyżowanego Chrystusa?* Cóż, jesteś wesół, zadowolony?«

»Jestem w smutku, w rozpaczy. Same wyrzuty i nieukontentowanie otrzymałem: turnejscy kanonicy mówią, że mój obraz nic nie wart. Gdym go przedstawił, wszyscy się odwrócili i zostawili mnie samego z stróżem, od którego także musiałem się nasłuchać niemało urągania. Potém wiele potrzeba było użyć starań, żeby otrzymać szczupłą zapłatę za tyle usilnéj pracy — a teraz... przyszedłem zapytać się ciebie mistrzu — bo już sam powątpiéwam o sobie — czy będę ja kiedy malarzem?«

»Poczekaj tylko, będą oni się wstydzić swojéj niewiadomości kochany Van-Dyku. Nie trać odwagi, wiérz słowom Rubensa: zdanie jego warte przecież tyle ile zdanie kanoników turnejskich. Bądź śmiałym! nie rozpaczaj!«

»Nie mistrzu«, odpowiedział Van-Dyk ze łzami: »po takiém zawstydzeniu, nie mogę zostać dłużéj we Flandryi. Ja muszę porzucić ten kraj, w którym nie rumieniąc się, dłużéj bawić nie mogę.«

»Jeżeli koniecznie chcesz jechać, to jedź kochany przyjacielu! Jedź do Włoch! Nauka wielkich wzorów dokończy twojego ukształcenia: jakoż rzeczywiście czas już, żebyś jechał; uczyłeś się u mnie dosyć długo! jedź!«

Rubens otarł łzę: kochał on Van-Dyka, jak rodzonego syna. Żeby rozpędzić smutne myśli, wziął Rubens pędzle i poszedł do obrazu, lecz Helena rumieniąc się, nie śmiała zdjąć mantyli, którą się osłoniła. — »Idź przyjacielu, zostaw nas teraz«, rzekł

Rubens z uśmiéchem. »Wieczorem przyjdź na wieczérzę, zaprosimy przyjaciół, żeby się na pożegnanie z tobą zabawić; ale piérwéj popatrz jeszcze oto na ten obraz. Co téż o nim sądzisz?«

»Ja sądzę, że ten jeden obraz mógłby was unieśmiertelnić.«

»Zaprawdę, jestem z niego bardzo kontent: rzadko mi się wydarzało tak wyrazić wszystko co czuję. Szczególniéj podoba mi się moja wczorajsza robota. Ta ręka Magdaleny i ta twarz Maryi... Cóż ci się stało? Dla czego tak zmiészałeś się?«

»O! przebacz mistrzu Rubensie! Wczoraj, gdyś się oddalił, ja — pragnąc przypatrzyć się twemu obrazowi, przyszedłem tu z drugimi... jeden z nas potknął się, upadł na obraz i starł twarz Maryi i rękę Magdaleny. Towarzysze prosili mię, żebym poprawił to nieszczęście. Drżącémi rękami wypełniłem to... a teraz... co za radość...«

»Van-Dyku, lepiéj wymalowałeś niżeli ja! Ta głowa więcéj niżeli cały obraz podoba mi się. Nie powątpiéwajże o sobie przyjacielu! Ty przewyższasz swego nauczyciela... Bywaj zdrów do wieczora!«

Gdy się oddalił młody człowiek, spoglądał Rubens długo na tę część obrazu, którę uczeń jego namalował; twarz jego po chwili zasępiła się, a głowa pochyliła pod ciężarem myśli. Nagle chwycił szpatlę, zeskrobał głowę Maryi i rękę Magdaleny, i zaczął je na nowo malować, pięć lub sześć razy nie udawało mu się, a nareszcie rzucił w kąt palitrę z pędzlami.

»Ach Heleno«, rzekł zmiészany, »w serce człowieka wkradają się częstokroć bardzo podłe uczucia. Nie mógłem ani chwili patrzéć bez zazdrości, że ten młody człowiek zrównał się ze mną... a przecież wiész jak go wiele kocham.«

Helena uściskała go za szyję i pocałowała w czoło.

»Mój drogi Piotrze, dla czegoż się masz wstydzić uczuć tak naturalnych? Twoja namiętność do sztuki czyż nie jest miłością? A miłość czyż może być bez zazdrości? Ja kobiéta, ja także kocham, i pojmuję twe uczucia. Cierpiałabym, umarłabym, gdybyś pokochał tyle drugą kobiétę, ile mnie kochasz, chociażby miłość ta była chwilową jak błyskawica. Toż samo dzieje się i z tobą. Ty nie możesz być obok rywala w sztuce, która dla ciebie—życiem, rozkoszą i szczęściem.... Dajmy temu spokój. Rozerwij się Pawle. Chcesz dziś zaprosić towarzystwo na wieczór. Pójdźmyż, rozeszlij zapraszające karty, a ja z Petronelą przygotuję to, co jest potrzebne.«

Bankiety Rubensa słynęły w Antwerpii. Każdy miał sobie za honor znajdować się na nich i poić się przyjemnościami, któremi umieli się otoczyć, znakomity artysta i piękna jego małżonka. Chociażby zaprosiny jakkolwiek były późne, wszyscy zjéżdzali się. W pół do ósméj około Heleny zebrało się już świetne zgromadzenie. Znajdowały się tam imiona dotąd głośne: Dawid Jenier, Van Tulden, Kornelii Gelemburg, Gerhardt Gontorst, Van Egmont, Snejders i mnóstwo innych artystów. Nie zbywało także znacznych panów i szlachty; z pomiędzy nich szczególniéj komendant twierdzy *Don Chuan de la Riveira* rad bardzo był, że miał wstęp do domu Rubensa, chociaż on prawdę powiedziawszy, winien to był swemu aresztantowi, książęciu d'Aremberg, który znajdował się w Antwerpskiéj cytadeli na rozkaz króla hiszpańskiego. Komendant znajdował się przy nim nieodstępnie i nie spuszczając z oka, strzegł ważnej osoby dozorowi jego powierzonéj. *Don Chuan de la Riveira,* stary żołniérz doszedł tego stopnia dzikim męztwem i niektóremi ślepo dopełnionémi usługami Filipowi wtóremu, i starał się pokryć niedostatek wychowania groźną okazałością, i olbrzymiowatą postacią swéj figury, co go robiło bardzo zabawnym. Ponieważ naówczas w Antwerpii wszystkich zajmowało nadobne malarstwo, to i Don Chuan wyobrażał sobie, że i on koniecznie musi posiadać galeryję obrazów, łożył zatém znaczniejszą część swoich dochodów na kupno dzieł sztuki, chociaż tyle się znał na nich co i ślepy. Pomimo tego rozprawiał on i sądził o nich pozdłuż i poprzék, nie postrzégając uśmiéchów i nie pojmując szyderstw i sarkazmów, które sypały się na niego za śmiészne uwagi jego. Książę d'Aremberg, sprawiedliwie uważany był za światłego znawcę sztuk nadobnych, i na niegoto zapatrzywszy się szanowny komen-

dant, zaraził się namiętnością do malarstwa. — Jak tylko Don Chuan otrzymał zaproszenie, wdział na siebie najlepszy mundur, przypasał najdłuższą szpadę i wziąwszy z sobą swojego więźnia, udał się w dom Rubensa. Przyjechali o siódméj godzinie; gruby sposób tłumaczenia się, pospolite wyrazy, tudzież wymowa hiszpańska, godna Don Kichota, wystawiały wszystkich obecnych na niebezpieczeństwo w głos rozśmiać się, i nadweręźyć przyzwoitości, o którą Helena i mąż jéj tyle starali się. Pomimo, że Helena zajęta była gadaniną *Siniora* komendanta, wszelakoż postrzegała tajemną niespokojność klucznicy swéj Petroneli, która z obowiązku swego jako gospodyni kilka razy przychodziła do salonu. Zwyczajna jéj powaga i niczém nie zachwiany zimny temperament opuścił ją: dwa razy pomyliła się w kluczach otwiérając bufet i w roztargnieniu przewróciła talérz z konfiturą. Już ją miała zapytać, co to znaczy, gdy się otworzyły oba skrzydła u podwoi, a marszałek domu wszedł w czarnym ubiorze z złotym łańcuchem na szyi, i zapukawszy białą swą laską, oznajmił, że wieczerza już gotowa.

Udali się wszyscy do jadalni a Helena dopiéro postrzegła tajemnicę Petroneli: naprzeciwko stołu ustawiono trzy obrazy Van-Dyka. Młody artysta, przy usłużliwéj pomocy klucznicy, wielkiéj amatorki siurprizów, umieścił ich tu z pośpiechem, ażeby mógł słyszéć sąd i zdanie światłych zgromadzonych znawców. Rubens pospieszył i uściskał ucznia w pośród oklasków całego towarzystwa, a Petronela żałowała już swego postępku, bo więcéj jak pół godziny zeszło nad oglądaniem i pochwałami obrazów, a pieczyste tymczasem wyziębło.

Obrazy te byłyto rzeczywiście mistrzowskie dzieła. Jeden przedstawiał: *Zbawiciela w cierniowéj koronie*, drugi: *Modlitwę na górze oliwnéj*, a trzeci portret żony Rubensa w całym jéj wzroście, malowany z pamięci, z całą poezyją myśli wytwornością form i gustem, w kolorycie, które odróżniają Van-Dyka.

Don Riweira, jak się spodziéwać należało, rozsypywał się z swémi niezgrabnémi pochwałami, które nie miały końca pomimo wieczerzy i wyśmienitego apetytu znawcy. Waleczny Hidalgo jadł za pięciu, a gadał za wszystkich.

Po skończonym stole, poszli goście do salonu i niespodzianie zachwyconémi zostali, znalazłszy grono dam gotowych zacząć bal. Sam komendant postanowił rozłączyć się z swą długą szpadą i aresztantem, i podać swą széroką rękę gospodyni domu dla rozpoczęcia tańców, która, prawdę powiedziawszy, obeszłaby się bez tego zaszczytu. Muzyka zagrzmiała, pary stanęły na swych miejscach, a w tém wszedł nagle oficer, i opowiedział coś do ucha komendantowi.

»Kwadrans tylko... kazać go wyspowiadać i powiesić«, odpowiedział tenże, nie mając nawet ostrożności, wydać cicho takie rozporządzenie.

Na komendanta przychodziła koléj tańcować, on nawdział dużą rękawicę z psiéj skóry i stanął w pozycyi.

»Boże mój, cóż się stało?« zbladłszy zapytała Helena.

»Nic wcale, bagatela: wypada powiesić śpiega: chciał się wkraść do miasta... Koléj na nas, proszę o rękę...«

Messir komendancie«, rzekła Helena, »takie wykroczenie nie zasługuje jeszcze śmierci. Proszę was ułaskawcie nieszczęśliwego.«

Śpiega ułaskawić moja pani?« wrzasnął Don Riweira, zadziwiony i skręciwszy wąsami: »śpiega ułaskawić? a na cóż się zda prawo wojny?«

Dał znak oficerowi, ażeby pełnił jego rozkaz. Helena zastąpiła mu drogę.

»Don Chuan«, rzekła ona schwyciwszy pieszczonémi swémi rączkami ogromne ręce komendanta: »to idzie sprawa o waszą reputacyję grzecznego kawalera, o moję ku wam przyjaźń lub nienawiść! Błagam was przebaczcie mu!«

»Przebaczcie, przebaczcie panie komendancie«, zawołały wszystkie damy, otoczywszy wąsacza.

»Otóż szczęśliwy łotr! Niechże wam podziękuje«, odpowiedział nareszcie z uśmiéchem brytana, któremu kość wydarto. »Niech żyje... Możecie miéć same przyjemność objawić mu ułaskawienie, którego on pewnie nie spodziéwa się. Antonio, każ tu śpiega przyprowadzić.«

Za kilka minut wszedł nieszczęśliwy związany, blady, nie śmiejąc podnieść oczu na komendanta, który gromowym głosem rozpoczął z nim inkwizycyję.

»Nie jestem śpiegiem«, odpowiedział aresztant skromnie, »przysięgam wam panie komendancie, nie jestem śpiegiem. Nieszczęścia zmusiły mnie opuścić Amsterdam, gdzie przez trzy lata mieszkałem. Wczoraj okradli mnie złodzieje na drodze, wzięli mi wszystko, co miałem...«

»Głupstwo! przyznaj się, przyznaj się, ty jesteś śpieg Niderłandczyków, którzy prowadzą wojnę z najjaśniejszym królem hiszpańskim, z moim monarchą. Przyznaj się, tyś śpieg?«

»Śpieg?... Ja?... Boże mój! Wy mnie nie wierzycie, a ja wam powtarzam, że jestem tylko biédnym malarzem.«

»Malarz!« zawołał komendant, przewracając się w kreśle od śmiéchu. »Ty malarz?... Ty?«

»Tak jest«, odpowiedział aresztant z szlachetną dumą, podniosłszy głowę: »jestem malarzem!«

»Rywal Rubensa, pojmuję!«

»O nie; Rubens nié ma rywala. Jestem jednakże malarzem, któremu i Rubens podawszy rękę rzekłby: »Witam cię bracie!«

»Doświadczymy! *Per Bacco!* doświadczymy przyjacielu! Dadzą ci płótno i pędzle. Jeżeli cokolwiek lepszego wymalujesz, niżeli szyld nad szynkownią—daję ci zupełną wolność; a jak nie wymalujesz... stryczek na szyję i... co daléj będzie, sam wiész.«

»Zgadzam się na to.«

»Antonio, każ mu rozwiązać ręce i pod dobrą strażą zamknij go do jakiego pokoju. Daję mu godzinę czasu.«

»Nie, nie!« zawołali wszyscy świadkowie téj sceny, »niech tu przy nas wytrzyma egzamin.«

»Niech i tak będzie, jak wam się podoba! cha! cha! namalnje on wam!... Zetrze potém nogami, jak będziesz kołysać się na... Cha! cha! cha!«

Przyniesiono to wszystko co potrzebne do malarstwa i rozwiązano biédnemu więźniowi ręce, zgniecione, i opuchłe od postronka.

»Nic to nie znaczy«, mówił on tarłszy jedne reke o drugą, ażeby ogrzać skośniałe palce, »nic to nie znaczy, bardzo pragnę mieć sprawę ze znawcami.«

»Zobaczymy«, rzekł z uśmiéchem Jordens; »pan komendant *Don Chun de la Riwejra* jest rzeczywiście takim znawcą, jakiego pragniecie.«

Komendant zakręcił wąsy. Uśmiéch Jordensa rozbiégł się po całém zgromadzeniu. Nieznajomy niespokojnie oglądał się na około, jak gdyby szukał czegoś i nie wiedział do kogo się ma udać z zapytaniem. Nareszcie postrzegł *mefrou* Petronelę, która przyszła podesłać mały kobierzec pod trzy-nóżnik, ażeby malarz-aresztant nie powalał woskowanéj posadzki zbłoconémi nogami.

»Dla miłości Boga *mefrou*«, rzekł on, »jeżeli wam cokolwiek zależy na ocaleniu życia biédnego człowieka, każcie mi dać butelkę wina: nic dziś nie jadłem, i umiéram od zimna... Jak tu malować? zkąd wziąć natchnienia!«

Petronela natychmiast spełniła życzenie gościa. Ten schwyciwszy butelkę, wypróżnił ją za jednym oddechem; potém podgarnął włosy, które w nieładzie spadały mu na oczy, i odkrył rysy, wprawdzie zwyczajne, jednakże ożywione wyrazem rozumu i czucia. Wziął pędzle, przystąpił śmiało do pracy, rzucił na płótno *eskiz*, z którego wkrótce utworzył się niewielki obraz pełny dowcipu i prawdy. Przedstawiał on kilku hiszpańskich żołniérzy grających w karty. Fizyjonomije twarze i namiętności, które się gwałtownie na nich odbijały, wyraził artysta szczęśliwie; najcelniejszą i najwyborniejszą figurą był stary żandarm: siedział on na piętach wziąwszy nogi pod siebie, z otwartą gębą, w któréj dwa tylko zęby stérczały, z łakomstwem i obawą wpatrywał się w grę. Wszystko to z zapałem schwycone i po mistrzowsku dokonane.

Wszyscy w głębokiém milczeniu spoglądali na robotę malarza. Gdy obrazek został ukończony, zdjął go i podał komendantowi.

»Wszak jestem malarzem?« zapytał, spoglądając śmiało w oczy Dona Chuana.

»Ty jesteś bazgracz! tyś mię oszukał i drogo mi to odpłacisz!« wrzasnął komendant i rzucił obraz.—Rubens podjął go śpiesznie.

Dosyć żartu Don Riwejra: dosyć już nastraszyłeś swego aresztanta. To, co on odmalował, jest po prostu dzieło artysty; cóż nie prawda Jordens? Czyliż nie prawda Van-Dyku?«

Wszyscy odpowiedzieli z oświadczeniem podziwienia i entuzyjazmu.

»Obraz ten wart przynajmniéj trzysta talarów«, dodał stary Terburg, który swoim zwyczajem o tyle cenił talent każdego dobrego artysty.

»Ja mu zapłacę te piéniądze«, rzekł książę de Aremberg, podając malarzowi sakiewkę ze złotem.

»Teraz pozostaje nam tylko wiedzieć nazwisko tego malarza«, odezwał się Rubens, »a ja wam go powiém. Tylko jeden człowiek we Flandryi jest w stanie malować tak wybornie przedmioty tego rodzaju: jestto — Brauer.«

»Tak jest w rzeczy saméj *messir* Rubens! Dla tego, że nikt inny w świecie, tylko jeden Rubens jest w stanie, tak trafnie za piérwszym rzutem oka sądzić o mnie. Tak jest panowie, ja jestem Adryjan Brauer, którego nieszczęsna dola,

nie wiadomo za co, oddała w ręce pana komendanta....«

»I którego nieszczęścia tu się kończą zacny towarzyszu«, przerwał mu Rubens. »Od téj chwili dom mój twoim! Znajdziesz w nim gościnne schronienie, pościel dla odpoczynku, syty stół, usłużnych sług, a gdy ci się zachce malować... pędzle, farby i wszystko czego zapragniesz.«

»Z wdzięcznością i bez wahania się przyjmuję tę grzeczność, a szczególniéj pościel, przyznam się, że mało spałem od téj chwili, jak mnie złodziei obrali, i gdy leżałem na słomie pana komendanta, mając w perspektywie szubienicę!«

»Petronelo, zaprowadź i pokaż pokój mistrzowi Adryjanowi«, rzekła Helena.

»Wam to *mefrou* będę obowiązany snem spokojnym i przyjemnym, boście wy mnie wybawili butelką wina od szubienicy!« mówił Brauer żegnając się z Petronelą: »za szczęśliwego się uważam, że wszystko to winien jestem tak pięknéj osobie.« — To rzekłszy, przycisnął do ust mięsistą rękę czterdziesto-pięcio-letniéj piękności i spojrzał na nią tak przenikliwie, że biédna zadrzała z radości i dziewiczéj wstydliwości.

Tymczasem rozjechali się goście; w sali pozostał tylko Rubens i Van-Dyk.

»Przyjacielu mój«, mówił Rubens; »bolesno to, a przecież potrzeba się rozstać. Bywaj zdrów! Może Bóg da, że się zobaczémy!... Weź ten pierścień na pamiątkę odemnie, weź i tę kiesę, w któréj jest tysiąc rajchstalarów. Ty wiész, że cię kocham jak syna, a syn może przyjąć dar od ojca. Przed wystawą znajdziesz mojego siwego wierzchowca, na którym lubiłeś jeździć. Bywaj zdrów!« — Mistrz i uczeń milcząc, uściskali się. Rubens przy świetle księżyca oparty na poręczu balkonu, długo spoglądał za Van-Dykiem, a ten co krok oglądał się, ażeby raz jeszcze ujrzeć dom dobroczyńcy.

*

Wiele lat upłynęło, w ciągu których Piotr Paweł Rubens prowadził szczęśliwe, sławne i obfite w przyjemności życie artysty, otoczony przyjaciołmi, którzy go szanowali, pięknémi i wdzięcznémi dziećmi i dobrą, kochaną żoną, która w początku ułudziła się blaskiem i znamienitością wielkiego artysty-dyplomata; późniéj pokochała z całéj duszy, jego samego, jego serce, jego duszę. Rubens albo zajmował się w swéj pracowni pośród towarzyszów i uczniów, albo podróżował, jeździł do dworu hiszpańskiego, dla traktatów, był pośrednikiem między Niderlandami i Filipem III. pogodził ich i uzyskał dank wdzięczności i entuzyjazmu swoich spółobywateli, którzy go nazywali »dobroczyńcą ojczyzny«; był także w Paryżu, w charakterze pośrednika starał się pojednać syna z matką: Ludwika XIII. z Maryją Medici — lecz nierówna walka jego szlachetnéj prosto-duszności i poczciwości z chytrą przebiegłością kardynała Richelieu, zniweczyła jego usiłowania. Zbiérał on obrazy, posągi i inne wzorowe dzieła sztuki i umnictwa, częścią dla swéj galeryi, częścią z polecenia monarchów. W jednéj z takowych podróży, poznał się w Amsterdamie z Rembrantem, i w pracowni jego wymalował portret swéj żony Heleny, znany pod nazwiskiem: *Słomianego kapelusza*. — —

Roku 1640 w jasny dzień jesienny, wjechał do miasta Antwerpii podróżnik, i zdziwił się nad nadzwyczajną cichością i spokojności po ulicach, jak gdyby osłoniętych ponurą mgłą powszechnego smutku. Byłato uroczystość końca żniw, którą mieszkańcy Antwerpii zwykli byli obchodzić głośną radością, a teraz... ani jednéj wesołéj pieśni; kuranty na miejskiéj wieży zamilkły, dzwony katedralne nie zagłuszały powietrza uroczystym dźwiękiem; obywatele posępni stali na progu domów, i z niespokojnością dopytywali się o coś każdego przechodzącego, który odpowiadając albo ściskając ramiona, albo kiwając głową, postępował daléj, dopóki go ktoś drugi podobnież ciekawy nie zatrzymał. Podróżnik zbliżył się do wystawy domu gościnnego, chcąc zapytać stojącego na progu gospodarza o przyczynę téj tajemniczéj ciszy w całém mieście.

»Smutne święto u was tego roku!« rzekł zsiadając z konia do tłustego Flamandczyka, który spoglądał to w dom, to na ulicę: »zapewnie źle poszły interesa tego roku w Antwerpii, że w święto nikt się nie cieszy.«

»O nie. Interesa dziękować Bogu jako tako, lecz magistrat zakazał uciechy, dopóki nie minie nieszczęście, które zagraża Antwerpii.«

»Cóżto za nieszczęście?«

»Musieliście dopiéro przybyć, że nie wiécie? Jestto niebezpieczeństwo, w którym się znajduje *messir* Rubens: on umiéra.«

Ta wieść, tak przeraziła podróżnika, że zbladł, nogi pod nim zadrzały i zmuszony był usiąść na stopniach wystawy.

»Całe miasto w smutku, jak widzieliście; po kościołach dzień i noc odprawia się służba boża.«

Podróżnik nie słuchał dłużéj: ocknąwszy się od piérwszego przerażenia wskoczył na konia i pospieszył do domu Rubensa.

Niezliczony tłum ludu otaczał ten dom; wszelakoż pomimo natłoku nie słychać było najmniejszego gwaru, wyjąwszy głuche szeptanie, które nie mogło dosięgać chorego. Jeżeli jaki ekwipaż dążył w tę stronę, zmuszał go lud nawrócić i w inną udać się ulicę, ażeby turkot kół nie

nadwerężał spokojności, lub nie powiększał bolów cierpiącego. Co ćwierć godziny jawił się stary sługa na wschodach, oznajmiając zgromadzonym nadzieję lub trwogę.

»*Messirowi* Rubens ulżyło się«, mówił on.

I szczęśliwa wiadomość w pół-głosie przebiegła po całym tłumie, i rozchodziła się na wszystkie strony miasta.

»Paroxyzm silniejszy.«

Dosyć było tych dwóch słów do usunięcia uśmiéchu i wzbudzenia w każdym obawy. Co chwila przybiégali pazie i słudzy w bogatych barwach, z zapytaniem w imieniu swych panów o stanie chorego. Wiele miał trudu podróżnik, niżeli się docisnął do starego sługi.

»Ach wy to *messir* Van-Dyku? w nieszczęsny dzień powróciliście! Mój dobry pan umiérał!...«

»Mogę ja odwiédzić go?« zapytał Van-Dyk.

»Dla czegożbyście wy nie mogli? Nie zobaczycie tam nic radośnego! Choroba tak go nagle zmęczyła, że aż strach! Jużto prawdę powiedziawszy, w ostatnich czasach często cierpiał, wszelakoż zawsze pracował; dopiéro trzeci dzień temu, patrzę, że już późno, a on jeszcze nie dzwoni. Poczekałem jeszcze godzinę, a nareszcie sam wszedłem do sypialnego pokoju... Boże ty mój łaskawy!... Leży, męczy się bez pamięci! Wezwali lékarzy, krew puścili: ocknął się wprawdzie, choroba przecież nie ustaje. W gorączce powtarza: »Sztuka! Sława!« Pani w rozpaczy, dzieci nieodstępnie przy nim... Pójdźcie *messir* Van-Dyk; będzie się cieszył wami.«

Van-Dyk wszedł do pokoju i ukląkł pomiędzy dziećmi. W głowach siedziała Helena zalana łzami; zmartwienie jéj groziło zniszczeniem piękności i wdzięków; które lata i czas oszczędziły. Usłyszawszy lekki szmer, podniósł chory powoli głowę, i ujrzawszy swego niegdyś ucznia, podał mu rękę, którę tenże szlochając całował.

»Dzięki Bogu, który cię sprowadził w tę uroczystą chwilę«, rzekł Rubens słabym głosem: »kocham cię jak syna... Gdy ojciec umiéra, przyjemno mu widzieć wszystkie swe dzieci!«

Płacz Van-Dyka przerwał mowę Rubensa, który cicho skłonił głowę i położył swą rękę w rękę żony.

Kilka minut przeciągał tłum ludu po ulicy, jak fale morza, szeptanie stawało się coraz trwożliwszém, nawet słyszéć było można wykrzyknienia: Przybył kapłan z najświętszym Sakramentem; lud się rozstąpił i wpuścił go do domu. Wszyscy zamilkli. Cichość nastąpiła i trwała blizko godziny. Nareszcie otworzyło się okno a spowiednik uroczyście ogłosił ludowi:

»Módlcie się! dusza sprawiedliwego przed Bogiem!»

Jęk głębokiego żalu był odpowiedzią. Smutna wieść w mgnieniu oka obleciała po mieście, a kościoły napełniły się modlącémi za duszę tego, któremu Antwerpija winna swą sławę, świetność i bogactwo. Magistrat jedno-głośnie postanowił wznieść Rubensowi pomnik w jednym z oddziałów kościoła świętego Jakóba.

W dzień pogrzebu, nieśli przed trumną wielkie aksamitne, czarne wezgłowie, na którém była złota korona. Wszystkie znakomite stany, duchowieństwo, artyści i miłośnicy, wszyscy obywatele Antwerpii, znajdowali się na pogrzebie.

Dotąd pod ołtarzem kaplicy, w któréj złożone są zwłoki Rubensa, znajduje się obraz, na którym wymalowany on sam, z ojcem i obudwoma żonami. Przed ołtarzem wznosi się marmurowy grobowiec tego znamienitego artysty z długim napisem.

Dziś nawet w Antwerpii każdemu dziecku znane jest imię Rubensa, i z uszanowaniem pokaże ci czytelniku miejsce, gdzie spoczywa proch sławnego męża. *D. Z.*

W IMIONNIKU.

Myśli pisanych żądasz odemnie?
Chciałbym usłuchać, ale.... daremnie!
Widziałaś kwiatek ślicznie malowany:
Barwa, kształt cały, sztucznémi farbami
Tak czarodziejsko oddany,
Że najbystrzejsze oko omami;
Przecież największa zręczność malarzy
Płóciennem tylko życiem go darzy,
Nie da mu życia, którém żył na błoni!
Będzie to kwiat piękny, lecz martwy — bez woni.
A przecież malarz szczęśliwszy sto razy,
Bo może od natury farby wypożyczyć;
Lecz ja myśl moję jak złożę w obrazy?
Mamże ją w pismo, w słowa, w głoski wliczyć?
O, gdybyśmy mieli słów jeszcze raz tyle,
I gdyby przez połowę myśl moja zmalała,
Jeszczeby wtedy ani na chwilę
W pismo się wdrobić nie dała!
Bo w mowie mocy za mało — za mało,
Przy każdém słowie czucie by konało!
O, wierz mi pani, ja chciałbym pisać
Wszystkie nadzieje, co kocham, w co wierzę,
Wszystko wypisać — lecz nie na papierze!
Myśl, co się w duszy, w sercu kołysze,
Tę myśl w Twéj duszy chciałbym powitać,
Bo czuciem tylko w duszy się pisze,
W duszy téż trzeba umiéć duszę czytać! —

Stanisławów. *Apolinary H....*

LITERACKIE DROBNOSTKI, UŁOMKI, CIEKAWOŚCI, ŚMIESZNOŚCI, FRASZKI I DZIWACTWA, ZEBRAŁ i SPISAŁ D. Z. —

(Ciąg dalszy.)

Francuz Chevrel Dessaudrais, wydał w r. 1805 dzieło, któryby powszechną rewolucyję w systemacie umiejętności naturalnej zaprowadzić powinno. Odkrył

on, że naród ludzki od sześciu tysięcy lat nic o tém nie wiedząc, po źwierzęciu łazi. Zwierzęciem tém, które żyje, jé, pije i trawi, które myśli, chodzi, poci się i członki ma, tém dziwném źwierzęciem jest—ziemia. Tym tylko sposobem łatwo jest wytłumaczyć wszelkie zjawiska, jako to: burze, orkany, wybuchy wulkanów i t. d. Kto nie wierzy, może odczytać dzieło tego mędrca dziewiętnastego wieku.

Francuzki uczony Piotr Ramus (urod. 1518 um. 1573), tradował publicznie i wykładał Cicerona i Wirgilijusza, lecz nigdy więcéj na dzień jak jednę stronę z autora, i dla tego nazwano go Paginarius. — Sławny Jak. Cujacius, nigdy inaczéj nie czytał, tylko leżący na brzuchu. — Mezerai pracował śród najjaśniejszego dnia przy świecy, goście, którzy go odwiedzali, odprowadzał w dzień ze świecą aż do wschodów.

Dupont de Nemours dosyć znana w dziejach rewolucyi francuzkiéj osoba, wydał najprzód dzieło o mrówkach, ich umiejętności, kunsztach i ekonomii, późniéj w roku 1803 ogłosił swoje badania o językach źwierząt. Po długich dostrzeganiach i ciągłéj nauce do tego doszedł, iż rozumiał jedynaście słów z języka gołębi, siedmnaście z języka kur, trzydzieści trzy z języka psiego, czternaście z kociego, dwadzieścia i dwa z języka wołów i krów; zaś język kruków miał dokładnie znać, i było jego zamiarem wydać słownik tegoż języka. Czyli zamiar ten przyszedł do skutku lub nie, piszącemu te drobnostki niewiadomo.

»Francuzi są grzeczni ludzie, nie bronię im śpiéwać i pisać, a oni mi pozwalają robić, co mi się podoba«, mawiał Mazarini, kazał egzemplarze drukowanych przeciwko sobie pism wykupywać, niby to z zamiarem, ażeby były palone; a gdy wszystkie wykupił, kazał je tajemnie drogo sprzedawać, i zyskał tym sposobem 10,000 talarów.

Sławny Schurzfleisch, kradzież książek poczytał sobie za zaszczyt, i na niektórych własno-ręcznie napisał: *Hunc librum abstuli ex bibliotheca vaticana; hunc ex biblioth. mediolana* i t. d.

Z sposobu jak człowiek czyta, można człowieka wyczytać.

Między prawdziwym mędrcem a uczonym jest ta różnica, która między żołniérzem a bohatérem.

Możnaby do niejednego z teraźniejszych autorów politycznych odezwać się słowami króla Dawida (2. Samuelis 10. 5.): »Mężowie zatrzymajcie się jeszcze w Jerycho, aż wam broda nrośnie.«

O wielu sektarzach możnaby to powiedzieć, co Scaliger o języku Basków wyrzekł: »Mówią, że oni jeden drugiego rozumieją, a ja temu nie wierzę.«

Rouseau mówił: »Choćby człowiek i największy rozum posiadał, pisać wszelakoż musi się uczyć.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją **T. W. Kochańskiego**, wyszedł N. 40. i obejmuje: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skreślony przez Kazimiérza Józefa Turowskiego. 2) O hodowli bydła latem na stajni. (Dokończenie). 3) Zewnętrzne znaki obfitości mleka u krów. 4) Wiadomości czasowe: *a*) Wpływ stajni na wypas wołów. *b*) O sposobie zachęcenia włościan do uprawy buraków. *c*) Owies kamczadalski.

Ponsard pisze dla teatru Odeon, drugą trajedyję, pod nazwą: *Le Francs à Constantinople*, lecz potrzebuje, jak sam zapewnia, do jéj ukończenia dwa lata; w tym przeciągu czasu napisze pan Dumas przynajmniéj dzieł dwadzieścia!

Przeszłego miesiąca, przedstawioną była we Włoszech wielka opera: *Ruy Blas*, z muzyką utworu księcia Poniatowskiego, i pozyskała powszechne zadowolenie.

Marmier, znany z opisu swojéj podróży po Europie północnéj, wystąpił teraz z nowém dziełem pod nazwą: *Lettres sur la Russie, la Finlande et la Pologne II. vol.*

Eugène Sue, za każdy *Feuilleton* pobiéra od dziennika *des Debats* 500, Soulié 300, a Balzac od dziennika *Siecle* 200 franków.

Podług obrachowania pana Balbis, wychodzi na całéj kuli ziemskiéj dzienników 3141.

Hrabia Branicki, zmarły niedawno w Warszawie, miał zostawić 120 milijonów swoim spadkobiercom.

Koronacyja Augusta II.*) *Die 2. Septembris anno* 1697. Przy piérwszém do Polski ingresie na koronacyją, weszła z Panem tym do kraju naszego *Majestas* i pompa parady, monarchy tak spaniałego umysłu godna; majestat nie tak tronu jak czoła i osoby pańskiéj, tym porządkiem poprzedzała kalwakata: 1) Mieszczanie krakowscy konno, na kupców *contubernia* i rzemieślników cechy podzieleni. 2) Polskich regimentów garnizon miejski. 3) Dwa regimenty dragonii polskiéj. 4) Stanowniczy saski *in assistentia* dziewięci trębaczów, 24 paziów królewskich. Trąby i kotły śrébrne z pod złotniczéj wyszłe ręki. 5) Kalwakator 24 rumaków z sobą prowadził, wszystkie karmazynowym aksamitem, śrébrem bogato haftowanym z herbami saskiego domu okryte były. 6) Prowadzono 40 mułów juczonych, juki zaś żółtemi oponami zarzucone, którego koloru aksamitem i lektyka pańska wysiana była. 7) Drugi stanowniczy saski prowadził za sobą 13 karét poszóstnych kawalerów saskich. Panowie jednak ich konno majestatowi asystowali, każda karéta miała swoich lokajów, nowo-munderowanych. 8) Szły 4 karéty biskupa Passawskiego, w których siedzieli kawalerowie i duchowieństwo prałata tego. Biskupia jednak karéta sama tylko paradowała ze 20 lokajami bogato szamerowanemi. 9) Większą nierównie paradę uczyniło 12 karet królewskich, które przodkowały samego króla karecie pyszno-bogatéj w ośm koni izabelowych, i przy każdym boku assystowało lokajów 12 w barwie złotéj, kroju szwajcarskiego. 10) Jachał konno kalwakator, który ośm koni króla JMci prowadził z bogatém siądzeniem, rządami od klejnotów świetnémi. 11) Nastąpili za tym dwaj stanowniczy gabinetowi przy śrébrnych kotłach i 12 téjże matery trąbach. 12) Jmć pan Graff von Eksberscheng *in Comitatu* ministrów i kawalerów saskich w liniją uszykowanych. 13) Regiment kirysierów Generała Artyleryi Jmci pana Graffa Reyssen. 14) Polskich pancernych chorągwi sześć. 15) Hussaryja polska pod trzema chorągwiami. 16) Szlachta polska z dworami swémi. 17) Senatorowie polscy, z którémi przed królem Jmcią konno jachali dwaj infułaci polscy. 18) *Immediatius* jeszcze przed samym baldachymem *insigne* honoru swego, laskę marszałkowską, klejnotami suto sadzoną, trzymał marszałek W.

---

*) Z nader ciekawego zbioru starych ksiąg, dokumentów, listów, aktów gorliwie oddanego literaturze polskiéj Apolinarego Huppena, i w téj gałęzi z zamiłowaniem pracującego, umieszczamy opis koronacyi Augusta II.

kor. książę Jmć Lubomirski. 19) Marszałek w. kor. był *sidus prodromu* twarzy najjaśniejszéj Augusta II., którą, wjeżdzając pod baldachimem (ten rada krakowska unosiła) do stołecznego miasta korony polskiej, nie tylko Kraków, ale i całe objaśniał państwo. Strój jego paludament draderowy, modrą westą podbity, gronostajami blamowany, koń pod nim izabelowy rządu *pretium* i prawie *sine pretio*, przy strzemionach szło drabantów w szwajcarskim stroju cytrynowego koloru 50, lokajów 48, laufrów 12. 20) Za baldachymem królewskim jechał konno bez pary, biskup Passawski. 21) Za nim cztérech kanoników krakowskich. 22) Za témi podkomorzy saski Jmć pan Fleming w komitywie generał-lejtnanta i koniuszego saskiego z kapitanem drabantów. 23) Dwie kompanije leib-gwardyi saskiéj. 24) Paradę zaś kończył leib-regimentarz kirysyjerów.

Pojedynek po omacku. Wiadomo jest powszechnie, jak bardzo często, nader barbarzyńskie pojedynki, wydarzają się w połndniowych krajach Zjednoczonych państw Ameryki; najszczególniejszym zaś ze wszystkich możnaby nazwać pojedynek, niedawno temu w Florydzie odbyty. Pewien pułkownik milicyi tamtejszéj, pozyskał sobie w tym względzie sławę, która wszystkich bojaźnią przerażała; umiał on bowiem tak zręcznie bić się na szpady, pistolety i pałasze, iż każdy przeciwnik idący z nim w zapasy, mógł być pewnym swéj zguby. Sławą tą nadęty, szukał umyślnie zaczepki, przeto też powszechném było życzeniem, aby już raz poległ w tym napastnym boju. Pewnego wieczora wstąpił on z jednym z swych towarzyszy do leżącego na ustroniu hotelu, gdzie właśnie bawiło liczne grono osób deszczem zatrzymanych. Tu szukając do bitki sposobności, obraził mocno grubijańskiémi wyrazami pewnego młodego lekarza, który wreszcie zniecierpliwiony, poskoczył i uderzył pięścią w twarz pułkownika, poczém za nóż pochwyciwszy, gotów był do odporu; wszelakoż obecni, wstrzymali pułkownika, a ten natychmiast domagał się pojedynku. Zgodzono się na to bez zwłoki, zdania tylko, w jaki sposób ten pojedynek miał się odbyć, nie były jednakie. Naradzano się nad tém przez chwilę, aż wreszcie jeden z gości podał projekt, który poczęści dla swéj osobliwości, poczęści téż dla tego, że zuchwałemu pułkownikowi znaną jego przewagę odbierał, zaraz przyjęto. Uradzono, aby gospodarz ustąpił dla zapaśników próżną salę na pierwszem piętrze swego hotelu, aby okna okiennicami lub deskami szczelnie zamknięto, a przeciwnicy nago, nawet bez koszuli, z pistoletami w ręku i sztyletem w zębach, weszli do owéj sali i swój pojedynek dopiéro we trzy minuty po zamknięciu drzwi rozpoczęli. Gdy już wszelkie przygotowanie poczyniono, wpuszczono przeciwników do sali. Po hałaśliwéj wrzawie naradzania się, nastąpiła nagle grobowa cisza, którą jednakże kiedy niekiedy szepty przerywały, obecni albowiem stojący za drzwiami goście, poczynili liczne między sobą zakłady o to: który z pojedynkujących odniesie zwycięztwo. Wreszcie trzykrotném zapukaniem we drzwi, dano znak do pojedynku; poczém znowu w skutek ciekawego oczekiwania nastąpiła cisza. Upłynęło piętnaście a nawet minut dwadzieścia, a jeszcze w sali nie było słychać najmniejszego ruchu. Aż oto razem rozległ się wystrzał z pistoletu i usłyszano pospieszne kroki; poczém padł strzał drugi. Po tym łoskocie nastąpił oddźwięk sztyletów, z czego wnoszono, iż obaj przeciwnicy zeszli się i uderzyli na siebie. Naraz dało się dosłyszéć silne pchnięcie a po niém znowu cisza. Sądzono powszechnie, że się już pojedynek zakończył, gdy wtém trzeci wystrzał przerwał znowu ciszę, i już wyraźnie słyszéć można było, że zapaśnicy pochwyciwszy się, walczyli na siły. Wreszcie rozległ się czwarty wystrzał, a po nim stawał się coraz słabszym dźwięk sztyletów i wkrótce jeden z nich—runął na ziemię, a za nim—drugi. Osoby stojące w sieni, chciały już drzwi otworzyć, wszelakoż niektórzy nie zezwolili na to, mówiąc: iż okoliczność taka mogłaby jednemu z zapaśników na korzyść posłużyć. Tak poczekano jeszcze z pół godziny, a gdy już nic się słyszéć nie dało, otworzono drzwi nareszcie. Znaleziono ciała obu zapaśników na ziemi leżące; pułkownika ujrzano z wielką radością na spodzie od lekarza powalonego. Oba walczący byli skrwawieni i po całém ciele ranami okryci. Pułkownik już nie żył a młody lekarz ledwie dyszał jeszcze. Zniesiono go zaraz na dół do gościnnéj izby, obmyto wódką głowę i zawieziono do chirurga. Przyszedłszy za miesiąc do zdrowia, odbiérał zewsząd podziękę: iż kraj od takiego potworu uwolnił. Opowiadał on późniéj swój pojedynek następującémi słowy: »Skoro tylko za nami drzwi zamknięto, ogarnęła nas gruba ciemność. Starałem się oddalić ile możności od mego przeciwnika, i udało mi się wreszcie na szerokość całego pokoju być od niego odległym. Tu przedsięwziąłem sobie oczekiwać bez najmniejszego szelestu, dopókiby się mój przeciwnik nie ruszył. Wszelakoż i on podobnie sobie postąpił, przezco nie mogliśmy obadwa z pewnością odgadnąć naszego stanowiska. Naraz, czy to w skutek zbytecznego wpatrzenia się w ciemność, czy też z szczególniejszego jakiegoś omamienia, wydało mi się, iż widzę przed sobą podobnie jak u hyjeny, dwoje ócz błyszczących; dałem więc ognia. Przy błysku wystrzału, spostrzegłem, że się mój przeciwnik do muru przycisnął. Zapewne i on mię też był ujrzał, bo w tejże chwili wystrzelił do mnie, a kula świsnęła mi tuż koło ucha. Omal żeśmy się już wtedy, odrzuciwszy wystrzelone pistolety, na siebie nie rzucili, gdyż mój przeciwnik miarkując, że chybił, poskoczył ku mnie z wściekłością, jednakże mnie nie dosięgnął, bo mu się w bok odwinąłem. Na nowo więc zaczęliśmy słuch nasz natężać, chcąc znowu wybadać nasze stanowisko, i zapewne nie uszło jego baczności jakieś poruszenie moje, gdyż niedługo czekając, wysłał ku mnie drugą swą kulę, która mię mocno ugodziła. Pozostał mu wtedy tylko sztylet, a ja miałem jeszcze jeden pistolet do użycia. To zważywszy, rzucił się teraz na mnie, ja zaś, mimo otrzymanéj rany, tyle jeszcze miałem przytomności, żem się sztyletem bronił; i odtąd goniliśmy jeden za drugim. Starałem się o to, aby mnie wprzód nie pochwycił aż póki pozostającego mi jeszcze pistoletu z pewnością nie użyję. Ciągle uchodziłem mu z drogi, jednakże pozbyć się go nie mogłem, i tak śród ciężkich razów, których żaden z nas nie mógł się uchronić, obeszliśmy całą salę: wreszcie uczułem, że mię siły opuszczają, postanowiłem ostatni raz wystrzelić, a przy połysku wystrzału, wydał mi się mój przeciwnik tak czerwony, jakby Indyjanin. Spostrzegłem, że się już chwiał na nogach, przeto rzuciłem się całą siłą na niego. Walczył on jeszcze chwil kilka, lecz razy jego coraz były słabsze, aż nakoniec posłyszałem, jak runął o ziemię. Co się ze mną dalej stało — wcale nie pamiętam.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.